



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy  
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### ZABAWA I WYCHOWANIE.

Zabawa jest tem dla moralnego organizmu człowieka, czem odpoczynek dla jego fizyczności; łuk wiecznie naprężony pęknąć musi, i tak duch, jak ciało, potrzebują pewnego odetchnienia, pewnych chwil swobody, która pozostawia poza sobą wszelki trud, wszelki mózół kłopotliwy. Jak zmęczone ciało, tak władze umysłu i serca odżywają się w odpoczynku; dobra, szczerza, prawdziwa zabawa pokrzepia i wzmacnia, czerstwości ducha dodaje; czerpie się w niej nowe siły, nowy polot do pracy, która zapładnia się ożywczo technieniem fantazyi, podnieconej wśród chwil rozrywki wesołej. Praca bez żadnych wynagrodzeń odpowiednich, bez żadnej przeciwwagi, położonej po drugiej stronie szali, to niewolnictwo: ciężkie, głucho przygniecione istnienie lłotów i dlatego człowiek, który nie umie, czy nie może znaleźć sobie żadnej rzeczywistej rozrywki, przestanie wkrótce pracować dobrze, bo duch jego uczuje się w końcu uciśniętym i zmęczonym—strudzi się nad miarę. Praca ludzi pozabawionych szczęśliwego odżywiania się w miłym, dobrze użytym odpoczynku, w wesołym odetchnieniu zabawy, bywa bierną: nie wciela się w nią żadna myśl twórcza, brak jej cech wyższej inteligencji, natchnienia, śmiałej i trafnej inicjatywy, staje się robotą pańszczyźnianą, karną taczka żywota, pchaną codzien kawałek jakiś. Dlatego sługa naprzykład, który nie ma swego swobodnego i wesołego święta, robi się wkrótce leniwym, obojętnym manekinem, poruszającym się o tyle jedynie, o ile nakręcamy ruchu jego sprężyny; dlatego rodzina, w której kole nieznaną jest przyjemna rozrywka, nie jednoczy nigdy ściśle członków swoich i nawet mimo szczerych, nieklamanych przywiązań serca, trwale ich u ogniska swego za-

trzymać nie zdoła. Zabawa jest złotą nicią w szarej codzienności tkance, i względnie do powszedniej pracy życia przedstawia pewną idealną życia tego stronę, jego ogród rajski, gdzie nieznanne są czoła uznojone, barki schylone pod ciężarem, muskuły do podźwignięcia go naprężone. Rzeki płyną tam mlekiem i miodem, spija się tam puhary nektarów, nosi strój piękny i świeży, każdy jest sam sobie panem, sam sobie władcą i o tych-to chwilach swobodnych naszego życia, można powtórzyć co Francuz mówi nam w przysłowiu o przyjaźniach naszych: „Pokaż mi jak się bawisz, a powiem ci, kto jesteś...“ bo jeżeli praca jakaś jest często wynikiem ciężkich życia konieczności, jeżeli każdy z ludzi przejść musi mniej więcej przez dolę Heraklesową: odrobić swój dział zadań koniecznych, które mu drogę jego zastępują, zabawa jest już rzeczą wolnego wyboru, i w zabawie też odkrywa się głęb' istoty ludzkiej, ukazuje duchowa jakość człowieka. Często nie jest mu wcale danem bawić się; ale gdy się już bawi, bawi się w taki sposób, w jaki pojmuje przyjemność, uczowanie święte, gody życia. To też rozwijając w kimś zdolność dobrego, szlachetnego, dostojnego bawienia się, jest to ubogacie go pojęciem rozkoszy dobrej, szlachetnej, udostajniającej, podnieść go w życzeniach i dążnościach ponad używanie lichy, pospolite, poniżające, i zabawa, uważana z tego względu, musi wśród wpływów wychowawczych mieć miejsce nieposledniego znaczenia. Nauczyć dziecko dobrze się bawić, znaczy prawie tyle, co nauczyć je dobrze pracować: są to, powtarzam, dwie przeciwwagi, które znaleźć się powinny na szali jednej, ich wzajemny do siebie stosunek stanowi o harmonijnym rozwoju życia, o jego piękności i sile — o szczęściu.

Dziecko potrzebuje zabawy częstszej, niż człowiek dorosły, bo nie jest jeszcze zdolnym do pracy długiej i wytrwałej, i ztąd praca dziecinna powinna być przeplatana rozrywką, która istotkę młodą wesołym swem technieniem pokrzepia. Tak dla

względów fizycznej potrzeby ruchu, jak dla względów nietrudzenia nad miarę słabiuchnych jeszcze władz umysłu, dla zostawienia ich czas jakiś w spokoju zupełnym, niemęczenia ich działalnością wyczerpującą, ważną rolę grają w zabawach dzieci rozrywki ruchliwe, na ćwiczeniu ciała oparte, gry biegane, ożywione swobodną i szczerą wesołością, uciechą naiwną, wśród której dziecko rozwija się w niezakłóconej niczem przyjemności, jakgdyby było jeszcze nieoderwaną od natury jej cząstką: ptaszkiem, który w powietrzu wiosennym radośnie buja, motylkiem, który się w słońcu kąpie, konikiem polnym, który z trawki na trawkę skacze. Skrępować wśród takich chwil dziecko względami eleganckiej sukienki, odjąć mu dla tych względów swobodę rzeczywistą, obciążyć drugostronnie duszyczkę młodą złym ciężarem rozbudzonej próżności, wprowadzić w serce dziecka pychę lub zazdrość, odjąć mu przedwcześnie rajską niewiedomość różnic, ludzi dzielących, jest nietylko siał ziarno najgorsze w grunt okrucieństwa i niemiłosierdzia, skracając na nielitościwie stan anielskiej błogości ducha, anielskiej nietroskliwości o dobra, czy nędze ziemskie. Zdawałoby się, że potrzeba być jedynie tkliwą, kochającą matką, aby się przedtem zatrzymać, aby, dla zadowolenia miłości własnej, lichej próżności i pychy maluczkiej, z dziecka ofiary nie robić—widzimy przecież codziennie, że tak nie jest. Matki, kochające niby najsilniej, wpadają w ten błąd, popełniają to przestępstwo: własnymi wadami, wadami starego, zepsutego społeczeństwa mroczą jutrzeńkowy rozświt duszyczek dziecinnych, odbierają im czyste, niezmacone jeszcze cieniem żadnym, radości jutrzeńkowej, chwile istnienia. Zabawy ruchliwe są gimnastyką swobodnie i naturalnie stosowaną; przyczyniają się niezmiernie do dobrego, prawidłowego rozwijania się organizmu, do wyrabiania jego organów, władz i sił, stanowiących o zdrowiu dziecka; dla tego wchodzić powinny w programat rozumnego wychowania,

być częścią higieny dziecięcej. Często matka, gdy za mało wie o wychowaniu, gdy nie jest dość troskliwą i pragnie sobie trudów macierzyńskich ująć, czy też bona, która się zmęczyła, znużyła zawodem swoim, lub również jest mało rzeczy świadomą, usiłują ruchliwe zabawy dzieci ograniczać. Dla miłego spokoju, dla cichości i tym podobnych względów, nieraz, a nawet często bardzo, dla oszczędzenia ładnych sukienek — sukienek aksamitnych, poddają dziecku usilnie zabawy siedzące, ciche, tak pochłaniające, że bliższe nad niem czuwanie mniej potrzebnem się staje. I takie zabawy dział swój mieć powinny; ale nie należy pozwalać, aby się w nieodpowiednim stosunku rozwielmożniały, aby ruch, ćwiczenie ciała ograniczyło się wyłącznie do spaceru w ogrodzie, gdy pogoda na to pozwoli. O ile stan tej pogody wpływać powinien na używanie przez dziecko świeżego powietrza, — należy to już do zagadnień fizycznego wyłączenia wychowania; to przecież ma znaczenie szersze i ogólniejsze, aby nigdy i dla względów żadnych nie przykuwano dziecka nadmiernie do miejsca, takimi naprzykład zabawkami, jak freblowskie wykłówanie papierków, układanie patyczków, wysyłanie dywaników na papierze. Pismo nasze wielokrotnie przedmiot ten rozbiierało; obecnie też wspomnę tu tylko, że w miejsce podobnie mierzalnych zajęć, obłudnie nazwę zabawy noszących, jest stanowczo lepiej nastęrczyć dziecku jakąś rzeczywistą, z pewnym użyciem praktycznym złączoną robotę, która pierwsze pojęcie pracy, obowiązku w umysł dziecka wprowadzi. Dziecko jeszcze na to zamałe, nie powinno też być tak mierzalnie zajętem.

Dziewczyńce znaleźć można niemało zajęć względowi owemu odpowiednich, a przedstawiających pierwszą naukę robót ręcznych, jakie w jej wychowaniu koniecznie miejsce zająć muszą; dla chłopców trudniej o to, ale też chłopczyka, który nie potrzebuje uprawiać się wiele do robót mechanicznych, z ożywczem ruchem nie złączonych, nie wyrabiających siły i zręczności, niema po co do takiego zajęcia skłaniać. Niech sobie raczej w to miejsce małą ciesielkę, tokarkę prowadzi, co przyszłości męskiego przeznaczenia lepiej odpowie, niech mu zostanie podsuniętym ołówek, klocki do budowania domów i przeróżnych gmachów jego fantazy, a wreszcie, jak dziewczynce dostaje się lalka, gospodarstwo blaszane, tak niech on sobie na drewnianym rumaku hasa, drewnianą szabelką wywija, hufce ołowianych rycerzy sprawia — niech się młoda wyobraźnia uskrzydla i pierwszy swój polot bierze, niech w dziecku tworzy się i kształci zwolna człowiek przyszły — inteligentny, czynny, samodzielny. Zbyteczna staranność, przesada w edukacyjnej czujności, która dziecku nawet w czasie zabawy chce towarzyszyć i pomagać mu w niej, jak tego często rodzice od bon i pierwszych nauczycielek wymagają, wyrabianie się tych przymiotów podkopuje, dziecko zniedołężnia, przyucza do wiecznego opierania się na kims, zdolność inicjatywy, twórczości tępi i jest może szkodliwszą od opuszczenia, od zdania dziecka na wolę jego własny skłonności i instynktów. Jeżeli tylko młoda istota, tak zostawiona siłom swoim, złych przykładów nie spotka, jeżeli jej wpływy takie zepsuć nie mogą i nie pociągną na drogę, któraby w niej pojęcie dobra i piękna moralnego zagubiła, żadna się ztąd szkoda dziecku nie stanie, że się samo na nogi dźwigało, o mocy własnej stawało do życia, a przynajmniej nigdy mu z tem gorzej nie będzie, niż gdyby w niem przyniesienie biernego naśladownictwa zmiażdżyć miało oryginalność, twórczość — samoistną dzielność ducha.

Obsypywać dziecko zabawkami, coraz nowych bez braku mu dostarczać: jestto nietylko uczucie uciechy z posiadania ich stępić, ale zniweczyć te wpływy rozwijające, jakie dobra zabawka przyniesić może. Dziecko staje się wtedy bogaczem, któremu się bogactwo przyjada, który z powodu przesyty — nadużycia, używać już przestaje. Ostrożność pedagogiczna nie na tym jedynym punkcie czuwać powinna, aby w dziecku nie zatracala się młoda siła odbierania wrażeń, nie zatracala, nie zacierała się świeżość wieku pierwszego, nie przychodziła dojrzałość przedwczesna, a raczej tylko starość sztuczna; bardzo na to baczyć należy przy dzisiejszym szczególnie systemacie wychowaw-

czym, w którym prawa dziecka do przyjemności, do używania, bogdaj czy nie zanadto są uwzględnione.

Z postępowaniem wieku budzić się powinna w każdym dziecku inteligentnem potrzeba zabawy intelektualnej. Książki, sztuki to przeznaczeniem, aby jej dostarczyć i jest to wielką sprawą wychowania, aby się tak stało: aby się wyrobiła zdolność po temu, powstały zamiłowania dać ją mogące, bo, powtarzam to raz jeszcze, że kto się umie dobrze bawić, ten potrafi i żyć zacie, nosi bowiem w wyobraźni swojej podniosły pierwowzór człowieka, a rozkosz, używanie, pojmując przez zadowolenie szlachetnych polotów, szlachetnych pragnień ducha ludzkiego. Ułubienie czytania w dziecku rozwinać, smak estetyczny w niem podnieść, dać mu jakąś sztukę piękną na słodką Hebę jego życia, na przyjaciółkę, towarzyszkę, boską piękność swobodnych chwil, wolnych od trudu godzin istnienia: oto rozwiązanie zadania tego. Kto materyalnie przy ziemi grzęźnie, kto idealnego pierwiastku w sobie nie rozwinał, iskry poetyczności na jasny jakiś płomyczek nie rozdmuchał, ten bawić się może tylko przez używanie niskie, czy zwierzęcego bankietowania, czy zadowolenia próżności, ambicji fałszywej: przez rozrzucanie zbytku, przez świetnienie, które tłum maluczki olsniewa. Gdy się w dziecku chęć czytania, miłość książki rozbudzi, gdy mu się przytem smak stopniowo zaprawi na arcydziełach, na wyższych wzorach piękna podniosłego i ubroni się je przez to od pochłaniania łatwo przesycających lichot tuzinkowych, można powiedzieć, że się nauczyło je czytać dobrze. A i dobre wykształcenie artystyczne podobną drogą otrzymać się musi: doszukać się najpierw w dziecku tej struny ducha, na piękno czulej, która w niem najżywiej zadrzeć może i tę tak nastroić, aby grała choćby echem tylko do chóru z mistrzami natchnionemi, a tak zwany *talent*, w który wychowanie młoda istota wyposaży, nie będzie mu ani rzeczą martwą, ani błyskotką na pokaz chwilową, na przystroj od ludzi trzymaną, ale płodem, uszczęśliwiającem zamiłowaniem, które życiu rzeczywistej pociechy, prawdziwej ozdoby przysporzy. Często odzywają się u nas krzyki na zbytek muzykalności, na zbyteczne obciążanie edukacyjnego programu kobiety muzyką; ma to przecież słuszność o tyle tylko, o ile muzykalne wykształcenie młodej panny nie podniosło się ponad sztukę popisową, grywaną w salonie dla gości, a zapomnianą, porzuconą potem niedbale, jak rzecz niepotrzebna, zbyteczna, zawadzająca. Tłómaczy się to zajęciami, jakie macierzyństwo i gospodarstwo domowe kobiecie zameżnej daje; ale racya to żadna, bo widzimy przecież, że życie kobiet naszych klas wyższych tak przeciążone trudami nie jest, a muzyka właśnie mogłaby być tą dobroczynną wieszczką, która przy domowym ognisku rodziny siadając, dawałaby kobiecie talizman niespożytego przez czas wdzięku, a atmosferze jej otoczenia, w której chowa się dziecko, pierwiastek uszlachetniającej. Ale nie z samą jedynie muzyką tak się dzieje, że służy ona kobiecie na kwiatek tylko pierwszych lat młodości, na ozdobę do czasu. — „Słowacki poszedł pod placki...“ śmieje się gorzko humoreska Zawadyńskiego.

Dać człowiekowi jedno prawdziwe, szczerze, niepowierzchowne zamiłowanie artystyczne — jest to dać mu na własność gwiazdę jakąś wśród błękitu, dać jego duchowi, niższe czy wyższe, ale zawsze jakieś miejsce na tej drabinie Jakóbowej, która jest do nieba prowadzącą drabiną ideału i człowieka takiego mogą spotkać swoją drogą wszystkie nędze życia, prócz tej jednej tylko, aby się nie miał czem bogato, wspaniale, dostojnie bawić.

O prawie do artystycznego wykształcenia niekoniecznie stanowić powinien talent wyższy, zdolność pierwszorzędną, chyba, że chodzi tu o wytworzenie dziecku zarobkowego, chlebobodajnego zawodu; gdy ten wzgląd przecież na pierwszym planie nie stoi, gdy chcemy tylko przez wychowanie całość władz i sił człowieka tak rozwinać, aby go dla celów dobra i szczęścia na najdoskonalszą, jak można najbogaciej uposażoną, jednostkę ludzką wykształcić, godzi się choćby najmniejszą iskierek artystycznego usposobienia rozdmuchać. Kto nie ma dukata, niech sobie choć talara, choć skromną złotówkę zaskarbi, a będzie to zawsze posiadaniem

jakimś i wykształcenie artystyczne wiele już zrobi, jeśli nam da zrozumienie sztuki, jeśli nas na jej piękności tkliwymi uczyni, w przybytek poświęcony wysokiemu bóstrwu wprowadzi i do godów, jakie tam zastawiają, zasiąść pozwoli. Niemała to rzecz być piękną miłośnikiem, piękną znawcą rozumnym.

W mojem przekonaniu tak to wiele dla życia ludzkiego znaczy, tak to wiele do szczęścia, a nawet do cnoty pomaga, aby jakieś prawdziwe, szczerze zamiłowanie posiadać, że wykrzyć go i rozwinięcie w kierunku szlachetnym uważam niemal za obowiązkową sprawę wychowania. Jeżeli nie da się to osiągnąć w zakresie wyższym: nauki, sztuki, poezji, tobym kazała go szukać choć poniżej: w jakim zajęciu mechanicznem, w jakim domowem gospodarzo-przyrodniczem upodobaniu. Czy jakie rzęczne figielki z drzewa lub kości toczyć, czy piękne kwiatki hodować, zbiory jakie, małe muzea urządzać, albo się szczególnem wydoskonaleniem pewnej ładnej roboty, pewnej gałęzi gospodarstwa chlubić, cokolwiek w miarę zasobu, w miarę zdolności sobie obrać i byle to nie było tuczeniem brzydkich czy ładnych pinezerów, prowadzeniem ich na spacer w haftowanych kołderkach, obok drzących od zimna sierot — zawsze to będzie dobrą dla nas zdobyczą, dobrą małą passyjką, która obok pracy życia obowiązkowej zapewni nam niejednokrotnie rozrywkę, niejedną chwilę swobodną od uczucia cześci, próżni, nudów, ubroni — ubroni od złego, niskiego jej użytkowania — da ujście jakieś fantazy naszej po za ubitą codziennych spraw życia powszedniość.

Zabawy takiego rodzaju, podwajające się niewątpliwie w rozkoszach, czy tylko przyjemnościach swoich, gdy są dzielone, mogą przecież istnieć niemniej i dla biednych samotników, dla pustelników ubogich i niezawisłe od stosunku do innych ludzi, życiu ich promyk ciepły cisnąć, kwiat wonny dawać: i to właśnie stanowi jedną z ich zalet wysokich. Ale człowiek stworzonym jest do społeczeństwa i towarzyskości; oboowanie z ludźmi stanowi też w dziedzinie zabaw bardzo szerokie, a nawet, powiedzieć trzeba, najszerokie, najrozleglejsze pole. Choć Robinson na swej wyspie pięknej, bogate królestwo sobie wytworzył, choć zbudował pałace letnie i zimowe, miał zamek nadpowietrzny i jaskinię podziemną ze stropem i ścianami błyszczącemi, smutno mu tam było jak Adamowi w raju przed Ewą stworzeniem i trzeba mu było choć biednego Piątaszka — jednej duszy żywej, jédnej duszy ludzkiej, aby wstąpiło tam wesele i życie pełniej rozwinięte. — „Piękne są kwiaty na ziemi obszarze, ale piękniejsze bliźnich naszych twarze!“ wołał wielki poeta; więc ten dla którego kraina ideału, sztuki, kontemplacji poetycznej o horyzontach rozległych otworem stała: prawda to z głębi samej serca ludzkiego wyrwana. Stosunek z temi bratnimi istotami, których oblicza mają dla nas urok wyższy nad najdelikatniejszą piękność martwej natury, daje człowiekowi przyjemności zabawy najpełniejszej, bo takiej, która może łączyć w sobie wszystkie rozkosze ideału, wszystkie zadowolenia umysłu, wzbogacając je w dodatku żywiołem uczucia. Jak dziecko do zabawy towarzyskiej przysposobić; jak zarazem z dobrych wpływów zabawy takiej czynnik edukacyjny wytwarzać, a od złych bronić: oto ważne dla pedagogiki zagadnienie.

(Dokończenie nastąpi).

## SASIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Zaśmiał się i, pałką machając, poszedł drogą ku Sierhinowi.

— Płatnął mnie, jucha!—odezwał się Czemyryński—daj-no księżę chustkę, trzeba krew wycisnąć i czems zalepić.

— A co we dworze powiemy?

— Idąc, czapkę nacisnę na uszy w kancelaryi mam plaster, zalepię—odezwał się pośpiesznie Czemyryński.

— Ale znak?

— Tom się pociemku o uszak wyciął i po wszystkim!—dodał sędzia. Ani jejmość, ani Leonilka, ani nikt wiedzieć o tem nie powinien. Nie chcę tego.

Honoru mi nie czyni, żem się z lada takim, z pozwoleniem, hołyszem zpod ciemnej gwiazdy, na szable próbował—i jeszcze... oberwał.

Rana, po tarciu i opatrzeniu, okazała się nie znacząca; jednak skóra była jak brzytwą przecięta: krew utamować było trudno. Wypadkiem, chleba kawałek miał ksiądz w kieszeni i, mięksiz zgniółszy, nim dopiero ranę zalepił. Trzeba jednak było poczekać dobrego zmerzechu do powrotu. Szablę, której o mało nie zapomniano pod krzyżem, już sam ksiądz ex-definitor podjął, i z uśmiechem pod swój habit ją skrył, obiecując odnieść do dworu.

Czemyryńskiemu dopiero teraz duch i fantazyja powracała.

— Nie wiem czy asindziej uważałeś—rzekł—to szczególna rzecz, jakim sposobem on mnie mógł obciąć. Istnym przypadkiem, przeciwko wszelkim prawdom. Ja go już, już miałem pod ręką i byłbym mu na wieki wieczne na karku znamię krwa-we zostawił. Sądzę, że mi noga w piasku się zsunęła, no, nie wiem—ale extraordinaryjne cięcie, którego on sam się nie spodziewał.

— Dajmy już temu pokój—rzekł ex-definitor—co się stało, to się nie odstanie. Być może, iż ja winienem, żem się trochę wprzód nie stawił, alem chciałem według dyspozycyi pańskiej dać się złożyć.

Westchnął sędzia. Powoli się tak wlekli do dworu, aby do mroku dociągnąć.

Udało się to im daleko szczęśliwiej niż sądzili, i nikt nie postrzegł wchodzącego Czemyryńskiego z czapką na czoło nasuniętą. W swoim pokoju obmył się zaraz ze krwi, zapalił świecę, plaster przykroił i nalepił.

Zręcznie potem bardzo, ogromnym głosem klnąc i łając wołać począł lokaja, aż się po całym domu rozległo. Zbiegli się wszyscy. Czemyryński stał trzymając się za głowę i hałasując, że światła nigdy w porę nie zapala, że pociemku wszedłszy, głową się szpetnie o uszak wyciął i zakrwawił.

Pani sędzina, przerażona, przybiegła natychmiast, ręce łamiąc i płacząc; o mało nie omdlała.

— Znowu tak okropnego niema nic — pocieszał sędzia.

— Uchowaj Boże w skroń, śmierć! śmierć być mogła—wołała sędzina.

Postanowiono *pro memoria*, lokajowi Stefanowi dać bizunów pięć, lecz wspaniałomyślnie karę tę raczył sędzia zmienić na młócenie pół dnia w stodołę—co, dla lokaja, noszącego barwę i półmiski, było też srogiem i upokarzającym.

Przy wieczerzy Czemyryński z plastrem na głowie siedział, chmurny, nieswój, i zaraz potem udał się na spoczynek, napiwszy się ziółek od alteracyi z odrobina szafranu, co było wypróbowaniem i nader skutecznem.

Pan Strukezaszyc do domu wrócił, przez całą drogę się sam do siebie uśmiechając. Na swoim postawił. Pan Bóg mu dopomógł i poprzysiężona krew za krew została przelaną.

— A że kapelana sam nasadził, aby wpadł, niby insperate, za to—bym szyję dał—mówił sobie, idąc Hojski. Bał się nieboraczysko, aby gorzej nie było—odgraża się spotkaniem! Ale! ale! Na Józefatowej dolinie! Na sądzie ostatecznym gdy przyjdzie do porachowania się między nami. Drugi już raz mi się tak nie uda.—Dobra psu i mucha!—zakończył Strukezaszyc.

Szablę na kołku udało się tak powiesić Hojskiemu, iż nikt tego nie postrzegł.

Z apetytem napił się potem wódki przed wieczorą, i dalej ciągnął przesładowanie p. Blandyny.

— A już mi asińdzka nie mów, bo że Kaczor się rozwiedzie z żoną i będzie o jej rękę konkurował, ręczę—takie do asińdzki czy robi!

— Mój bracie—odstrzeliła p. Blandyna—mnie

się zdaje, że on do twojego sepecika, co w głowach stoi, większe niż do mnie ma nabożeństwo.

Smieli się przez całą wieczercę.

Spotkanie u figury na Dziewulach nie polepszyło stosunków dwu sąsiadów. Strukezaszyc spędził trochę swej zjadłości, naznaczywszy sędzię po łbie; Czemyryński czuł się upokorzonym i tem większą zęnstą dyszał. Częściej niż kiedykolwiek na pokojach, u obiadu i wieczerzy, wspominał Strukezaszyc, dając mu zawsze epitety jaknajwzruszkańsze; nawet w rozmowie ze Sliwką napominał, ażeby Sierhinowi nie folgowano i dokuczano na każdym kroku.

Włóscianie i oficjaliści w takich razach, gdy wiedzą, że dwór ich poprze i obroni, zawsze są skłonni do płatania figlów. Nie było też prawie tygodnia, ażeby bójki, spotkania, zajmowania bydła, chwytania w lesie ludzi się nie trafiało. Jeździ Łopatycy zajęli co, poturbowali chłopów Sierhińskich, zrobili burdę, na pewno w kilka dni tamci się zasadzili i oddali we dwójnasób za swoje.

Wojna zawsze na wiosnę i w lecie ożywiła się, zjadlejszą stawała. Czyhano na siebie wzajemnie. Czasu na to marnowało się wiele, a wyrzec się tego nikt nie chciał.

Sam p. sędzia Czemyryński przemysliwał mocno: jakby za rozplataną na czole skórę zapłacił. Nie trafiała się sposobność żadna. W trybunale sprawa graniczna, trwająca od niepamiętnych czasów, tyle miała kategorii, w tyłu była pozapisywana registrach, tak z obu stron jej pilnowano, że na niej prawnicy tylko zyskiwali. Obie strony musiały czekać końca, którego przewidzieć nie było można.

Strukezaszycowi między innymi przydomkami, dawano i przezwisko „pieniacza”; Hojski Czemyryńskiego zwał „wykrętnym jurem.”

Od niejakiego czasu, dawny w Łopatyczach gość częsty, Kaczor, jakoś się nie pokazywał. Sędzia do niego był nawykły, i prawie zanim tęsknił.

Kazał raz nawet Sliwce się dowiedzieć: czy nie chore. Posłaniec przywiózł wiadomość, że wyjechał gdzieś i dawno go w domu nie było. Tymczasem zaszła okoliczność, która bytność komornika czyniła konieczną. Po Wielkiej Nocy, ni ztąd ni z owąd, poczęły się sypać listy do sędzię, żądające wypłaty kapitałów.

Pierwszych dwa nie zmartwiły go wcale, lecz gdy jak z rogu obfitości, jedne po drugich leciec poczęły owe wypowiedzenia stanowcze, — Czemyryński, który długów liczyć nie lubił, a o wielu nie pamiętał, przestraszył się mnóstwem tych obligów i skryptów. Raz potajemnie siadł sobie, począł konotować i doszedł do summy tak znacznej, że się aż przeraził.

Jawną rzeczą było, że kredyt jego zachwiany musiał być mocno, skoro naraz—wszyscy dotąd cierpliwi wierzyciele go oblegli.

Wstydził się nawet przyznać do tego przed kim obcym. Ze zwykłą większej części ówczesnej szlachty nieoględnością, robił długi, pewien będąc, że się to jakoś połata. I łątało się to tym sposobem, że pożyczając u jednego, oddawało się drugiemu. Teraz, gdy zastukali wszyscy, urwało się nagle.

Czemyryński chodził niespokojny, oczekując na Kaczora, chcąc mu powierzyć traktowanie z wierzycielami, aby nie nalegali. Zdawało się to możliwym. Regenta tymczasem nigdzie pochwycić nie było można. Goniono zanim do Kobrynia, Brześcia, wywiadywano się wszędzie: jak w wodę wpadł. Sędzia, rozgniewany, kazał w końcu Brackiemu jechać, dobyć go, choćby z pod ziemi i—za uszy—przyprowadzić.

Z wielkim trudem dało się wysledzić nareszcie, że regent często przesiadywał w Sierhinie, a tam ani Bracki, ani Sliwka, ani żaden posłaniec Łopatycy nie mógł się ważyć, bo życia nie byłby pewien.

Najęto żydka i posłano z listem. Przebiegły chłopak wytropił komornika, list mu wręczył i otrzymał ustną odpowiedź, że nazajutrz obżałowany się stawi.

Ubołość niezmiernie sędzię, że Kaczor tak wysiadywał u przeciwnika jego; postanowił mu wytrzeć kapitałę co się zowie.

Gdy rano nazajutrz wysiadł z kałamażki Kaczor, zaraz go do kancelaryi poprowadzono. Czemyryński,

chodząc, czekał na niego. Blizna na czole już się była zaciągnęła, ale znak czerwonny po niej pozostał.

— Cóż to się u licha ma znaczyć?—począł Czemyryński,—acan mnie zdradzasz? knujesz coś przeciw mnie! Nigdy go znaleźć teraz nie można, nigdzie dopytać, gdy ja potrzebuję; a w tym przeklętym Sierhinie siedzisz jak w domu!

— Ja?—zawołał Kaczor,—jako żywo, a któż to powiedział? Jeździłem w powiat Piński do rodziny, a dopiero zawczoraj ledwie żem z bryczki wysiadł, przysłał do mnie Strukezaszyc, iż potrzebuje. Już się nie mogłem odpowiedzieć: nie pojadę! Ja z tego żyję, a teraz ciężkie czasy.

— Cóż ten hołysz, skąpiec, matacz, ten jakiś pieniacz, — zawołał sędzia — co on wacanu może dać? Co od niego skorzystasz? Hm! Czy go nie znasz? Każe sobie służyć, a potem czem zgnojonem i stęchłem wykutuje!

— Ja też tam na niego nie rachuję wiele,—rzekł Kaczor z pokorą—ale chudy pacholina, jasnie panie, opuszczać nie mogę nic, nikogo zrażać ani się nikomu narażać.

— Ja acana kilka miesięcy w żywe oczy nie widziałem!—wymawiał sędzia—he? godzi się to?

— Miałem własne interesa—tłómaczył się Kaczor żałośliwie—pięcioro dzieci, szóstego tyłkoco parzyć.

Tu Czemyryński poszedł do kantorka i, przerywając rekryminacye,—rzekł—papierów wiązki do bywając.

— Wiesz co się święci!

Komornik osłupiałą twarz zrobił i głową potrzaskał.

— Nie nie wiem, jasnie panie.

— Pięknych mi naraiłeś kapitalistów — patrzajże, Dziechciński upomina się, Sroczyński żąda zwrotu, Terajewicz, Wakulski, Wróbel, Pacyna....

Komornik się pochwycił za głowę.

— Nie może być!—krzyknął.

— Co nie może być! Oto ich listy! Czarno na białem! Spisek jakiś, czy co? Razem się spiknęli na mnie. Niema na świecie człowieka, któryby temu podolał. Nawet skarb królewski żąda w takich razach prolongaty.

Kaczor stał pogrążony w myślach i przybity, niewiniątko udając wcale dobrze.

— Ja wiem, proszę jasnie wielmożnego sędzię—rzekł—ja wiem co to jest.

— Cóż to jest?

— Sapiehowie potrzebują pieniędzy,—kodeńscy; rozesłali między szlachtę, obiecując ośm prowizyi—wszyscy ściągają!

Czemyryński się przeszedł po pokoju.

— To lichwa!—rzekł—ale *necessitas frangit legem*—jedź waćpan po tych ludziach cheiwych a bez sumienia, powiedz, że ośm dam. Kaczor ręką jakoś i palcami kręcił dziwnie.

— Kiedy oni pewnie poprzrzekli już—bąknął.

— Niech się wytłómaczą!—odparł Czemyryński. Ja pieniędzy teraz tak nagle nie dostanę, a kiedy Sapiehom o nie trudno, cóż mnie? Mennicy u siebie nie mam! To są czasy extraordinaryjne. Wówczas, kiedy ja prawie nie potrzebowałem, to mi się kłaniali i prosili, nalegali, żebym brał. Kleli się że chyba ich dzieci podniosą, a tu nagle—fiut! i, dawaj pieniądze.—I to nie jednemu, nie dwóm, ale wszystkim.

To mówiąc, wiązka listów trzymaną w rękę, Czemyryński uderzył po biurku i rzucił ją z gniewem.

Komornik, w progę ciągle stojący, patrzył, słuchał, lecz nie okazywał tego na usługi pośpiechu, tej żywości i gotowości jak dawniej.

— A to, w istocie, proszę jasnie pana — zaczął mruzcąc, głowę trąc—co tu robić!

— Co robić! jechać, gadać i żądać nieodzownie prolongaty—powtórzył Czemyryński.

— A jak nie otrzymam?—rzekł komornik.

— Niech pozywają!—krzyknął sędzia—niech pozywają! Nie wskórają na tem nic, oprócz kosztów.

Komornik w mileczeniu parę razy oczyma zmierzzył sędzię, jakby grunt chciał rozpoznać, gotując się coś zagaić, co mu nie łatwym było do wypowiedzenia.

— Ja, wracając z Pińska, proszę jasnie wielmożnego sędzię, po drodze spotkałem Wakulskiego

i Wróbla, i coś zasłyszałem, ale mi się wierzyć nie chciało—rzekł zeicha: Myślałem, że żarty stroja.

— Cóż oni ci mówili?—spytał sędzia zbliżając się.

— To może strachy na Lachy — szepnął komornik, mierząc wciąż oczyma Czemeryńskiego.

— Ale cóż?

— Wakulski mnie zaczepił. — Pisałem do p. sędziego, aby mi zapłacił. — Nie da pieniędzy, to pojedę do Sierhina, Strukezaszyc mi zaraz obrączkowemi wyliczy, bo on na to łasy.

Czemeryński podskoczył.

— Łotryl rozbójnik!—krzyknął—oni już to myśla.

— Licho ich wie—rzekł komornik—a jak jeden to robi, pójdą i inni, jak w dym, do Sierhina.

Blady i przelekły, sędzia przez chwilę mówić nie mógł.

— Cóż-to on ma mieć tyle pieniędzy! —mruknął głosem, w którym się przestrach malował.

Komornik mileżał długo.

— Albo ja mogę wiedzieć co on ma!—rzekł objętnie.

Tu na myśl przyszło nagle Czemeryńskiemu, co od Dominikanina słyszał o depozycie, i—mocno się zadumał.

— Któż to im tę głupią myśl takiego sękowania mnie mógł podać?—odezwał się. Czy to po obywatelsku? po bratersku? po ludzku? he?

— Że to jest szelmowstwo, to słowa niemasz—przebąknął komornik—ale, proszę jaśnie pana, świat na tem stoi.

— Niechże taki świat, wszyscy razem porwał!—krzyknął sędzia—to abominacja!

W czasie tej rozmowy niewiele miało wagi to, co mówił komornik; lecz wpatrzywszy się w jego umyślnie na niewinno-głupowatą przerobioną twarz, można było poznać, że pilno badał sędziego, i do głębi go usiłował przeniknąć. Nie uszedł mu żaden ruch, drgnięcie, skinięcie; zdawał się sobie notować wszystkie oznaki niecierpliwości, niepokoju, trwogi.

— Mam go już tu!—na gardło wskazując, odezwał się Czemeryński, który padł na krzesło.—Mam go tu! Dnia ani nocy spokojnej od niego. Żmija zajadła, pełza, sunie się niewidocznie, ryje podemną, ten łotr niegodziwy. Nie zareczyłbym, że i to wypowiedzenie jego sztuka! Grosza-był nie dał za to! To do niego podobne. To mi nim pachnie. Popatrzał na komornika, który ani potwierdzał ni przeczył.

— Hm? a ty co sądzisz?—spytał.

— A cóż ja wiedzieć mogę?—odezwał się z naiwnością Kaczor.

— Mógłbyś to spenetrować, kiedy tam bywasz—dodał sędzia.

— Do czegoż się to zda, choćbym i spenetrował westchnął komornik.

— Tak! prawda! tu trzeba myśleć i radzić — wtrącił, ozywając się, Czemeryński. Mówiłem acanu, to niesłychana rzecz — skarb koronny żąda delaty, gdy ze wszystkich stron go opadną. Nieraz wojsko czeka lenungu. Zkąd-że ja im wezmę. Zkąd?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów, w Marcu.

Życie umysłowe nie zaznaczyło się w ciągu tego-rocznej zimy żadnym wybitniejszym objawem. Kilka książek nowych pojawiło się na półkach księgarzy, o których po większej części już mówiłem; kilka sztuk nowych w teatrze, z których tylko jedna czy dwie należą do ojczyzno-piśmiennictwa; kilka odczytów, które pomimo swej wartości nie zainteresowały szerszego koła, a nawet tak żądnych nauki kobiet; jeden, co prawda wspaniały, koncert tutejszego Konserwatorium Muzycznego, które w tym roku wyreżać musi przelotnych ptaków artystycznego horyzontu, co wyjątkowo — a nie wiem z jakich powodów?—Lwów ominęły; a do tego sporo kwasów dziennikarskich z polemik wyborczych: oto i ten ubogi „sznur pereł,” jakimi

się ozdobił ubiegający sezon umysłowo-towarzystkiego życia. Gdybym mógł i chciał mówić o przedmiocie, który położyłem na końcu, to-był, zaiste, nie potrzebował utyskiwać na ubóstwo materiału; ale winienem to szacunowi dla pisma i jego czytelników, a wreszcie i dla siebie, aby pominąć te rzeczy, czasem nawet przelotnie ciekawe, ale nigdy zaszczytne ani budujące. Jedną tylko uwagę nawiążę do tej utartej we Lwowie historii, uwagę, która mnie pociesza, jako rękojmią lepszej przyszłości. Nienawiści przeróżnych kół tutejszego społeczeństwa doszły w tym roku do zenitu, a że cały ruch świata zamyka się pomiędzy dwoma biegunami, i poza granice przez nie zakresłone popchnąć się nie da: przeto rzecz i astronomicznie i psychologicznie wytłómaczona, że po tym najwyższym wysiłku w kierunku ujemnym i dezorganizującym, wytworzyła się reakcja—zapowiadająca, jeżeli nie ciszę,—bo ta nie byłaby nigdy pożądaną,—to okres uspokojenia namietności i łagodniejszych kontrastów. Tę nadzieję obudzają we mnie zmiany, które zaszły w łonie prasy, będącej stałą dotąd ośrodniczką wszystkich zamętów społecznych. Najbardziej wpływowym organem tej prasy: *Dziennik polski*, który siał dotąd z wytrwałością systematu wszechstronnie obmyślanego, ziarno niezgody i zawiści w kraju, przeszedł, w pierwszych dniach 1878 roku na własność księcia Adama Sapiehy, a pod redakcyę p. Liberata Zajączkowskiego. Dawniejsi właściciele i redaktorowie tego dziennika, zużyli się i utonęli sami w czarze jadu, którym poiili przez pasmo lat siedmiu społeczeństwo. Ustąpienie tego grona ludzi, jest pierwszą wielką zdobyczą krajową w tym roku. Jakiegokolwiek będą dalsze losy tego silnego organu, to pewna, że w nowym składzie rzeczy przestanie on być żywiołem rozstroju i demoralizacji.

Galicja jest prowincją o nizkiem ogólnem wykształceniu; dziennik polityczny zastępuje w niej częstokroć wszystkie inne czynniki oświecenia: to też wpływ jego bywa stanowczym. I ztąd-to reakcja w łonie prasy, jeżeli się utrwali, stworzy reakcyę w całym ustroju naszego życia towarzyskiego i w ogóle społecznego. Łagodniejszą obyczaję,—mógłbym śmiało zastosować w tym wypadku frazes, którego używają zwyczajnie historycy ludów pierwotnych, ilekroć przyjdzie im mówić o wniesieniu pochodni bądź-to poczucia religijnego, bądź innych czynników cywilizacyjnych w społeczności, żyjące przedtem na łonie natury. Doszliśmy już bowiem istotnie do „zdziczenia,” które poczęło wślizgiwać się nawet aż w koła kobiece. Począł się już u nas ścierać na dobre puch idealny z tego, „anioła słodyczy i pokoju,” i szorstkość charakteru, zamaszystość zdania, skwapliwa poniewierka szlachetniejszych idei i delikatniejszych usposobień, trywialny, nierządno cyniczny, a w każdym razie, pozbawiony kobiecego taktu, sposób mieszania się w rzeczy, nie do łagodnej strefy kobiecego umysłu należące: wszystko to poczęło się szerzyć w naszym świecie kobiecym, z ujmą jego wdzięku i godności. Ta rezolutna swada, rąbiąca krzyżową sztuką—która cechuje nasze wyroby dziennikarskie, przedziera się do książki, we Lwowie pisanej, a ostatecznie obiera swą siedzibę w salonie, usuwając zeń dystynkcyę uczuć i sądów—powlokła smutną barwą oblicze naszego życia towarzyskiego, i potrzeba będzie lat może kilku, aby to wszystko, co się zbrudziło i strywializowało, wróciło znowu do form szlachetnych i harmonijnego tonu. Najpierw poprawią się nasi publicyści i pisarze; potem czytelnicy naszych pism politycznych i literackich; a za nimi—zapewne i kobiety. Obym, pisząc te słowa, nie był marzycielem!

Wielka to szkoda, że obudzony silnie prąd życia umysłowego, wśród kobiet tutejszych, u kolebki już swojej natrafił na wpływy, które go zwicznęły. Dzisiaj on już ma swoją chwilę zastoju, a raczej niepewności: którądy płynąć? Prasa nasza nie umiała otoczyć tego zacnego zwrotu macierzyńską opieką, nie umiała poddać mu pożywienia, odpowiedniego delikatnej naturze niewieściej, nie chciała lub nie umiała zbliżyć kobiecych umysłów ku wznioślejszym prądom współczesnej myśli ludzkiej, ani uwieścić ich w atmosferze tkliwszych uczuć. I owszem, czy to weźmiemy do ręki znane tutejsze pismo literackie: *Tydzień*, od chwili jego założenia, czy ów osławiony *Dziennik*, to uderzy nas i zmrozi

odrazu ich ton, pozbawiony wszelkiej dystynkcyi, łagodniejszego sposobu myślenia i sądu, pogody umysłu i serca, delikatnych dźwięków natury ludzkiej. Wszystko tam gwałtowne, chropawe, trywialne, płaskie, niesmaczne; język tutejszy brzmi tak szorstko i pospolicie, jakby nie przeszedł szkoły złotoustych pisarzy Zygmuntońskich, jakby nie wypiękniał na słońcu poezyi wieszczów, jakby nie otarło się o te pióra, co u nas piszą, nigdy echo wytworniejszego stylu literatury ojczyznej lub zagranicznej. Zdziczenie języka, tak literackiego jak towarzyskiego, przybrało tu rozmiary, doprawdy, zastraszające, a to w skutek przypuszczenia do pióra ludzi bez wszelkich zasobów literackiego wykształcenia, ludzi, posiadających wiele innych *rzemiół*, oprócz *rzemiosła* piśmienniczego. A społeczeństwo?—chłonie to wszystko, częścią z powodu żywotności spraw traktowanych tem żelaznem piórem, częścią dla sensacyjnej woni skandalu, jaka unosi się z wszystkich wyrobów naszych, zwłaszcza humorystycznych; częścią, wprost dlatego, że są one najbliższe, więc najłatwiejsze do pochwylenia ręką. Natomiast wszystkiego, co ma pokrój poważniejszy, zaczynają panie nasze unikać, chociaż do niedawna jeszcze, wręcz odmiennie w ich kołach panowało usposobienie. Przed dwoma jeszcze laty, sala odczytów bywała pełną; w tym roku świeci pustkami, chociaż to są odczyty dla kobiet, urządzone przez Towarzystwo Pedagogiczne, i mężczyźni mają nawet pewną rację, pozwalając się tym razem wyreżać słuchaczom kobiecym. W tym roku wyreżycielki nie przyszły—i głosy prelegentów obijały się o stropy pustej sali, jako ów biblijny głos proroka, co kazał na puszczy. Inny cykl odczytów, nader zajmujących, urządzony, staraniem Towarzystwa Pomocy Naukowej, na politechnice lwowskiej również przebrzmiał bez echa. A szkoda: było parę wykładów bardzo żywotnych i sympatycznie opracowanych. Pan Henryk Szmitt, znany historyk, mówił dwa razy: *O kongresie wiedeńskim*, fakcie tak doniosłym zwłaszcza dla naszej współczesnej historii; pan Bruno Abakanowicz zebrał wiązkę ostatnich odkryć na polu kosmografii, i ułożył ją w nader pouczającą gawędkę: *O najnowszych poglądach na budowę wszechświata*. Znaleźliśmy tu, począwszy od teorii mgławic Laplace'a, która położyła kamień węgielny pod całą dzisiejszą teorię tworzenia się światów, aż do ostatnich odkryć i obiecujących hipotez, wszystko, co umysł, pragnący światła, może porużyć i głębiej zająć; Dr Fabian, profesor fizyki na wszechnicy lwowskiej, mówił jeszcze gruntowniej: *O atomach i próżni*; Dr Ochrowicz wreszcie przedstawił nam pracę dotyczącą wszystkich niemal praktycznych zagadnień naukowych obecnej chwili. Mówił o zastosowaniach psychologii empirycznej, a zatem o stosunku jej do wszystkich nauk i zakresów działalności publicznej, a więc do estetyki, historii, medycyny, psychiatrii, prawodawstwa i t. d. Prelegent umiał się utrzymać w granicach ściśle naukowych przedmiotu, i dlatego wykłady jego były prawdziwie pożytecznymi.

Zrobiliśmy codopiero zarzut naszym kobietom, że w tym roku mniej licznie, niż zazwyczaj, uczęszczały na prelekcyę Towarzystwa Pedagogicznego, dla nich urządzone. W części należy im się przede- cież usprawiedliwienie; tegoroczny cykl tych odczytów był mniej zajmującym i mniej żywotnym, niż wszystkie poprzednie. Nauki humanitarne, literaturę, historię sztuki i t. p. zupełnie usunięto z programu, chociaż, kto wie, czy te może przedmioty nie najłatwiej odpowiadające i przeznaczonemu i usposobieniu kobiety. Przedmioty te mają i to do siebie, że najtrudniej przenieść je na pole kosmopolityczne; że chcącniechcąc, muszą one nawiązywać się ciągle do spraw swojskich, do pracy ducha rodzinnego, do potrzeb własnego społeczeństwa. A że kobietom naszym, jako Westalkom ogniska domowego, tak bardzo właśnie potrzeba oparcia się o grunt rodzimy, tem świętszy więc ciężar obowiązku na tych, którzy odczyty dla nich urządzają, iżby uwzględniiano przedewszystkiem te przedmioty naukowe, które dla etycznego przeznaczenia kobiety, jako matki i nauczycielki domowej, dla wyrobienia w niej podniosłego i silnego charakteru, są niezbędne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Korespondencja z Ameryki.

Waszyngton, d. 15 Stycznia 1878 r.

## KONWENCYA KOBIECA.

(Dokończenie).

Wspomnieliśmy imiona prezydującej i sekretarza Asocjacji pani doktora Lozier z Bostonu i profesora w Waszyngtonie, pani Sary Spencer. Wybór urzędników i dyrekcji stowarzyszenia odnawia się corok, chociaż pani Spencer jest stale obierana na sekretarza w każdej konwencji i, zdaje się, nie ma współzawodnic. Urząd ten zkadinać nie jest weale *sine cura* i pani Spencer dotąd nie zyskała nic na nim, prócz tego, że jest ukazywaną w każdej chwili zdarzonej ciekawym turystom w stolicy. Jestto osoba mająca z okładem lat trzydzieści, najprzystojniejsza prawie w całym stowarzyszeniu, pięknego wzrostu, kształtnej kibici, oka ciemnego, wyrazistego, ale wejrzenia bardzo skromnego, żadną zewnętrzną nie odznaczającą się oryginalnością, w konwersacji bez pretensyi, bardzo interesująca — dobra żona i przykładna matka. — Dołączamy tu, dla ciekawszych, imiona innych cenniejszych osób w gronie stowarzyszenia i główniejsze zajmujących stanowiska. Są między niemi niektóre, tak głębokiej nauki, wiedzy i tak świetnej wymowy, że pod żadnym względem nie ustępują wyższym talentom męzkim. Żona senatora Stanów Zjednoczonych, pani Helena Sargent, jest podskarbnim Ogółu Asocjacji, co znaczy, że jest kassyerem rady kierującej Asocjacją, czyli biura wykonawczego. Delegatami czyli regensami, czynnymi radcami, są następujące damy: pani B. Lockwood, prawnie uznany wyższy adwokat (mecnas) przy sądach dystryktu Columbia. Ona jest teraz wybraną na delegata czyli kommissarza na wystawę przyszlą w Paryżu do działu kobiecego przemysłu. Do niej dodano także na delegata na tę samą wystawę, kobietę niepospolitej wymowy i rzadkiego dowcipu, przytem bardzo zacną, panią Matyldę Jocelin Gage i wziętego doktora i botanika, panią Maryą Tompson z Oregonu. Inne znakomitości w stowarzyszeniu są: pani Elżbieta Stareton, Lillia Devereux Blake z New-Yorku, Izabella Beecher Hooker, — wszystkie słynne z wymowy płynnej, ozdobnej a silnej i pełnej mocnego rozumowania i ścisłego wnioskowania, — wszystkie trzy zajmują niepospolite miejsce wobec głębszych myślicieli i badaczy.

„Reverend“ pani Olimpia Brown i drugi też „Reverend“, pani Zuzanna Anthony, są *sui generis* niepospolitemi kaznodziejkami. Od wielu lat jako pastersze kierują właściwymi sobie kongregacyami, bez innego zkadinać zarzutu jeno, że są kobietami i do chrześcijańskiego wcisnęły się kapłaństwa.

Pani Teresa Juan Lewis wydaje jedno z bardziej wziętych pism w Filadelfii „Woman's World“ (Świat kobiety) i ma tylu prenumeratorów, ilu-bym życzyć tylko mógł naszym pismom. Pani Elżbieta Boyton Harbert, druga szczęśliwa wydawczyni w Chicago przeglądu *Inter-Ocean*; pismo to wzięte wszędy, bardzo poważane przez literatów, a jego wyroki budują sławę pisarzem. Pani Henryka (Hattie) Culberson, Mulatka w Texas, znana ze swych regularnych korespondencyj do wielu dzienników i przeglądów tygodniowych. Inna Mulatka z Waszyngtonu, pani Marya A. Carey, pierwsza ze swego plemienia zaczęła wydawać tygodnik przed wielu laty, który bynajmniej nie stracił na wziętości. Jedną li tylko pani Lavinia C. Dundore chybiła w swem ubieganiu się o posadę konstablera.

Inne panie w konwencji odznaczyły się albo wypowiedzeniem *Wojny prawdziwie domowej* — przez odmówienie przyszywania guzików u kołnierzyków męzkowskich, cerowania guzików, przygotowywania śniadań, a nawet obiadu z ulubionymi łakociami etc., a to na tak długo, aż dopóki mężowie nie przyłożą ręki do nadania praw głosowania żonom, córkom i siostram. Nie wyrzeczono ani słowa o matkach i teściach.

Pani Napoleona czy też Napoleonii Cromwell żądania i argumenta tchneły straszną gmatwaną imion, które, czy z przypadku czy z wyboru, nosi.

Pani Franciszki Crol dźwięk i wymowa harmonijna, ale poświęcona komunistycznym urojeniom, tak oburzyły krwisty temperament Murzynki delegowanej, iż zerwawszy się z wyciągniętymi groźnymi ramionami, przerwała jej mowę, wołając: „*Shut your mouth! Stop your nonsense! we don't want your common husband and a common kitchen!*...“

Znana jako doktor z Delewary pani Winslow z przekonaniem dowodziła, że póty po stadach spokoju nie będzie, póty zły humor mężów będzie więził po domach żony, póki wszystkie familie nie zaopatrzą się, w jej (pani Winslow) wynalazku, *Tulacy Syrop* (Soothing sirop).

Stara panna z Columbus w Ohio, ośmdziesiąt trzyletnia Smith, mimo wieku swego, mimo nużącej, długiej podróży, przemawiała po kilka razy niezwykajnie na wiek swój silnym głosem. Conajwięcej jednak, rozwodziła się nad tem, iż póty podatków wnosić nie będzie, póki prawo głosowania, mówienia i rozprawiania przyznanem jej nie zostanie — *no taxation without vote*. Serdecznie publiczność się uśmieła, gdy panna Smith w całej furii na ród męzki zawołała: „Nie widzę żadnej potrzeby męzczyzn: myślny w domu dały wszystkiemu sobie rady bez tego *nuisance!*“ Istotnie: miejscowe urzędy mają niewypowiedziane trudności w wybraniu małych nawet gruntowych podatków od tej panny Smith i jej — jeśli być może, zawziętszej jeszcze starszej siostry.

W konwencji, którą jakiś zręda czy sceptyk przewał: *Sejmem starych szczebiot*, — same li tylko kobiety głos zabierały, prowadziły rozprawy i wносиły postanowienia, według parlamentarnego regulaminu, przyjętego przez kongres. Nie mogły jednak zapobiedz temu, aby zniecierpliwione, podniecone umysły, wścibskich nie wydały, szczególnież za pośred pteci własnej. Tak wtrącała się, jak już powiedzieliśmy, p. Croll, oraz pani Marya Walker, doktor i major zarazem; była ona lekarzem z rangą majora, czasu długiej ostatniej wojny. Panią Walker komuś podobało się przewać Woeker, przed trzema czy czterema laty, a nieznając stosunków i nierozumiejąc mowy, zrobić w Warszawie przewodniczką i wyobrazielielką ruchu znanego pod nazwą: *Women's Rights*. Pani Walker zdaje się najwięcej na sercu leży ruch przed 15 lub więcej laty rozpoczęty w Syrakuzie (amerykańskiej) przez panią Bloomer, to jest reforma ubioru kobiety. Pani Walker sama wyfantazyowała strój krótszy niż go mają Szlązaczki z pod Cieszyna. Chodzi jej przytem o szerokie pantalone spadające do wazkiego trzewiczka, a laskę w rękę, wielki parasol i długie włosy, w tym celu, ażeby mogły być uciętemi na warkoczyszczeczne. Gdyby każdy czy każda mogła mieć tak małą i składną nogę, możeby nowy Jazon mógł mieć jakieś szanse!.. Ale w stanie rzeczy jaki jest p. Walker, jedną tylko zyskała zwolenniczkę, która za to wprawdzie prześcignęła mistrza: w pani doktorze Maryi A. Tilloston. Siwa, niepoczesna, wyrazu twarzy nie pociągającego, wygląda ona jak trypiot jakiś w białych papilotach!.. Głos więc pani Walker przeszedł na mitingach jak wołanie na puszczy. Z tem wszystkim lepiej się jej powiodło niż wrywającemu się jakiemuś Filipowi, nie z *Konopi* ale z *Wirginii*, p. Merrill, delegowanemu, jakoby do konwencji. Przy dyskusji na zebraniu konwencyonalistek nad kwestyą majątku i bankructwie w czasie trwającego małżeństwa i z okoliczności mód zbytowych, oraz owego zmiatania sukniami trotoarów, pan Merrill zaczął perorę od tego: „Co tam panie o bankructwie i majątkach w małżeństwie rozprawiacie? Czegóż wam dziś jeszcze braknie?.. Alboż-to mężowie nie tracą majątków, płacąc za wasze zbytki i coraz dłuższe ognony? — a gdy bankrutują, nie mogą wytrzymać dłużej, alboż-to fikcyjnymi zapisami nie odprawiają wierzycieli z kwitkiem?..“

Na takie *dictum acerbum* nawet poważna i cierpliwa pani Lozier, prezydentka, zerwała się z krzesła i odebrała głos mówiacemu, wołając: *For shame, for shame, put him out!*... (Hańba, hańba — wyrzucie go za drzwi).

Został wprawdzie osadzony mówca na miejscu; ale odtąd milezeli wszyscy inni delegaci do

konwencji, rodzaju męzkiego... Stali się posłami niemymi.

Po zagajonej i odroczonej konwencji *sine die* w Lincoln-Hall, panie *in corpore* udały się na komnaty kongresowe, szczególnież przeznaczone na posłuchania dla kobiet. Tam, przez woźnych, odzwiernych i paziów, z osobna, pojedynczo, każda z mających większe stosunki wywoływała na prywatną konferencyę senatorów i reprezentantów. Niejeden wynalazł dobry pretext i wymówił się od przyjemności. Ale wszystkim nie pomogły odkładania.

Potrzeba nadzwyczajnej odwagi Amerykaninowi, aby mógł odmówić damie *pieruszeństwa zwyczajowego*. Innych pochwyliły damy między siebie, gdy szli na posiedzenia. Żaden z konferujących nie odszedł, nie przyrzekłszy, że *wszystko zrobi, co może* — szczęśliwa arynga, do niczego nie prowadząca. Ile przy tych konferencyach było uśmiechów, przymlań, uroczych spojrzeń, delikatnych szeptów, poufałych rozmów; a nawet niejeden guzik poważnego senatora został w pięknych rękach!

Ale ominiemy te szczegóły: kto chce mieć „*res*“, musi użyć i „*modus*“.

Odtąd, po rozjechaniu się większej części delegatek do domów, do ambon, katedr i spiżarni, część wytrwalszych i wybrańszych, codziennie przychodzi na sessyę kongresu. Dokazały też tyle, że komitet *ogólnego prawodawstwa* (judiciary), dał im kilka publicznych, urzędowych posłuchań, celem zebrania dowodów *za i przeciw*, ułożenia osnowy bilu (projektu uchwały) i osądzenia wczesności lub niewczesności projektowanego prawa i t. d. Świeżo przeszło prawo w Szkocyi, mające za przedmiot zabezpieczenie prawa majątkowego żony i wdowy; szczególnież przybyło ono na rękę naszym tu paniom-szermierzom. Gdy z okoliczności *Suffrage universel* w przeszłą sobotę wspomniano w komitecie o Utah i jego prawach do głosu ograniczonych, pani doktor Walker odezwała się, mając sobie dany głos: „Autor tego prawa, generał Ashley, wiele dopuścił się w swem politycznym życiu niekonstytucyjnych działań, za co dziś nie może jednego znaleźć głosu za sobą między swymi niegdyś gnoliwymi stronnikami. Mormonom panowie nie macie prawa prawnie odbierać głosu, stosownie do ustawy zasadniczej. Zresztą wielożeństwo ich jest instytucyą doskonalszą niż nasze jednożeństwo. Ono jest rozwojem, postępem“...“

Chciała dalej podobnie swoje argumenta rozwodzić, ale przewodniczący zrzęcznie i dokładnie przewał zapytaniem zwróconem do pani Spencer — i pani major-doktor w rajtroku widziała się zmuszoną zasiać spokojnie w wygodnem krzesle dla dalszych pomysłów.

Pani Spencer zaś odparła: „Rzeczywiście według ustawy zasadniczej nie możnaby nikomu bez wyroku właściwego sądu odbierać głosu. Ale panowie jesteście prawodawcami, moglibyście, jeśliby potrzeba tego wymagała, wydać prawo sięgające przed czas swego poczęcia, biorąc naturalnie odpowiedzialność na siebie. W sprawie zaś Mormonów ja nie widzę nic innego, tylko, że mi się ono wydaje bardzo nie do twarzy kongresowi, którego większa część członków, publicznie wołając za jednożeństwem, w praktyce w wielożeństwie żyją“. Naturalnie, na taką konkluzyę komitet najlepiej odpowiedział ogólnym uśmiechem.

Nazajutrz po tej w komitecie naradzie, jeden z jego członków, pan Frye, złożył w kongresie petycyę kobiet, noszącą 30,000 podpisów i wypisaną na papierze 1000 (tysiąc) stóp długim. Podpisy zebrano we wszystkich częściach Stanów Zjednoczonych. Prośba dotyczy nie tylko *nadania prawa głosowania kobietom*, ale i najściślejszego zakazu wyrabiania i sprzedawania napojów rozpalających. Gdy szło w Izbie o to, dokąd tę petycyę, oprawną w trój-kolorowe wstęgi i kwiaty oddać, pan Buchner wniosł, ponieważ ona dotyczy największego źródła przychodów narodowych, że potrzeba ją odesłać do komitetu *of Means and Ways* (środków i sposobów). Wszakże na żądanie pana Frye, który miał szczęście ją wziąć w swe ręce, odesłano podanie do komitetu prawodawczego (Judiciary).

Niema żadnego stosunku rzecz, którą tutaj przytoczymy, z ruchem kobiet pragnących głosowania nawet z ograniczeniem pani I. B. Howe, która wy-

maga głosowania, jeno dla kobiet wnoszących podatki; ale jako skutek propagandy *temperance*, za przykład niech posłuży ostatnia ucztą urzędowemu i etykietalnie dawana przez prezydenta Hayes'a, co najznakomitszym osobistościom i dygnitarzom, oraz posłom w *Białym Domu*. Stół przybrany zbytkowo, cały ukwiecony, miał zamiast kieliszków bukiety kwiatów, a za napój czystą filtrowaną wodę. Było to z woli pani Hayes, fundatorki czy opiekunki jednego z towarzystw wstrzemięźliwości.

Henryk Katusowski.

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż 28 Lutego 1877 r.

Śmierć kardynała Brossays-Saint-Marc. — Anegdota z życia dostojnego prałata. — Śmierć ojca Secchiego, Jezuita, sławnego astronoma rzymskiego. — Pogrzeb narodowy znakomitego profesora Klaudyusza Bernarda. — Kilka szczegółów z pierwszej młodości genialnego filologa. — Zgon malarza i sztuczarza Karola Daubigny'ego. — Nowa książka p. Tissota *Wiedzi i życie wiedeńskie*. Pierwszy tom *Teatru Perskiego*, tłumaczenie p. Alexandra Chodźki. — Dziwny fenomen w literaturze wschodniej. — Misterya perskie. Charakterystyka tych utworów i prawdziwe ich znaczenie. — Rzadki i jedyny rękopis tego repertuaru w Europie; nabycie go i to, co on w sobie zawiera. — Przedmiot główny tych religijnych dramatów. — Historyczne wspomnienie o imanach sekty Szytów. Sposób, w jaki te przedstawienia odbywają się w Persyi. — Zkąd i dlaczego ten artykuł?

(Dokończenie).

Śpieszmy do żywych, póki nam czasu staje. Pan Tissot, znany autor tak popularnych książek: *Podróż do kraju miliardów* i *Podróż do krajów zabranych*, wydał u Dentu w Paryżu nowe dzieło: *Wiedzi i życie wiedeńskie*. Sprytny i uszczypliwy autor pierwszych wycieczek do Niemiec, zapomniał widać w Paryżu swojego ostrego pióra: nowa książka nie odpowiada wcale temu, czego się należało spodziewać od tak wprawnego pisarza; ale i tu może polityka wścibiła nos swój nie w porę. W przeszłych wycieczkach chodziło o to, aby się posmiać z tych, których się ma na karku i czasem ukąsić, oddając ząb za ząb. Tutaj kąsać nie było żadnego powodu, a śmiać się nie godziło wcale a wcale: stało się więc, że z tego wszystkiego wyszła książka, napisana przyjemnie, gładko, ale bezbarwnie, i jestto jakby przechadzka spokojnego wędrowca, po gładkiej a ubitej drodze. Dziwna rzecz, jak zawsze trudno chwalić w formie dowcipnej! Czyżby człowiek, jak mówił Champfort, wtenczas tylko miał zęby mądrości (*dents de sagesse*), kiedy chodzi o ugryzienie bliźniego? Takby się zdawało przynajmniej codo nowej książki p. Tissota. „*Worek próżny*, powiada krytyka francuzka. Czas zasunąć łade!”...

W piątek dnia 15 Lutego złożył pan Renan na posiedzeniu Akademii *Des Inscriptions et belles-lettres* w imieniu p. Alexandra Chodźki pierwszy tom jego tłumaczenia na język francuzki *Teatru Perskiego*. Pochlebne słowa, któremi akademik odezwał się przy tej sposobności o naszym szanownym rodaku, są tylko sprawiedliwym uczczeniem zasług dostojnego profesora francuzkiego kolegium, a nacisk, z jakim p. Renan po kilkakroć uwydatnił literacką wartość dzieła, dowodzi prawdziwej i wielkiej ważności pięknie i szczęśliwie dokonanej pracy.

Cóż to jest ten *Teatr Perski*? jestto dziwny, literacki fenomen, dziwny szczególnie swoim objawieniem się na Wschodzie. Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, jak o tem ostrzeżenie uczony tłumacz w bardzo ciekawej przedmowie, aby ten zbiór sztuk dramatycznych perskich był teatrem w znaczeniu, jakie my zwykliśmy przywiązywać do tego wyrażenia: jest to coś na kształt naszych i ogólnieuropejskich średniowiecznych *Mysteryów*.

W języku perskim każda z tych sztuk zowie się *Teazye*. Codo słowa, podług źródłostwu arabskiego jest to: *Optakiwanie straty*, *Żal po zgonie* i t. p. — coś jakby nasze *Treny*, z tą tylko różnicą, że wprowadzone do poematu rozmaite osoby, dramatyzują jednolitą u nas całość, dzieląc ją na rozmowy. Stanowi to pewien rodzaj reprezentacji re-

ligijnej, jak we wspomnionych misteryach, i jest jakby duchownem ćwiczeniem dla widzów.

Przedmiotem wszystkich tych *Teazyj* perskich są szczegóły dotyczące się śmierci, przesładowań i nieszczęść proroka Alego i jego rodziny. Rzecz pewna, że sztuki te pisane były w XV lub XVI w., w czasie, kiedy fanatyzm religijny zwolenników Alego był w całej swej sile w Persyi. Rękopisma te zostawały w rękach prywatnych i nie ukazywały się na widok publiczny, aż dopiero za panowania Fet-Ali-Szacha, który wywodząc ród swój po kądzieli od rodziny Alego, szczególną czcią otaczał pamięć tego proroka i dał potężne poparcie sekcje *Szytów*, to jest zwolenników Alego, których *Sunnicci*, to jest *prawowierni*, uważają za odszczepieńców.

Sztuki te, powtarzane z pamięci, zachowały na sobie ślady naleciałości późniejszych i dodatków nowożytnych poetów; pisane są wierszem, podług miary, czyli rytmu, który w arabskiej poezji nosi nazwisko *Hezedż*, a ich zbiór w jedną całość dokonany został z rozkazu, jak się zdaje, jednego z następców Fet-Ali-Szacha, z których każdy, jako honorowy tytuł, przybierał nazwę charakterystyczną: *Segi dery Aly*, „Pies ode drzwi Alego”. Rękopismo, które udało się p. Alex. Chodźce nabyć w czasie pobytu w Persyi od dyrektora nadwornego teatru w Teheranie, eunucha Husejn-Ali-Chana, składa się z 33 *Teazyj* czyli dramatów, ślicznie kaligrafowanych. Rękopismo to pan Chodźko ustąpił ostatnimi czasy Bibliotece Narodowej Paryzkiej, gdzie się dziś znajduje zakatalogowane pod N. 993.

Tytuły już same wskażą nam rodzaj przedmiotów, którym poświęcono te sztuki; są one następujące: 1-sze: Wyśłaniec Allaha, czyli Archanioł Gabryel zwiastujący prorokowi Mahometowi, że dwaj jego wnukowie mają zginąć śmiercią męczeńską; 2) Śmierć proroka; 3) Ogród Fatmy, córki proroka; 4) Śmierć Fatmy; 5) Męczeństwo Alego; 6) Męczeństwo Imana Hassana; 7) Tenże sam przedmiot; 8) Odjazd Miuslima, syna Akila, do miasta Kufy; 9) Męczeństwo dzieci Miuslima; 10) Męczeństwo młodzieniaszków; 11) Odjazd Imana Husejna z Mekki; 12) Spotkanie Hura w drodze przez Husejna Imana; 13) Tenże sam przedmiot; 14) Iman Husejn zbłąkany w pustyni; 15) Tenże sam przedmiot; 16) Iman Husejn, błagający litości u złych ludzi; 17) Męczeństwo Abbasa; 18) Męczeństwo Alego Ekbera; 19) Męczeństwo Kasima; 20) Męczeństwo dzieci Zejneby; 21) Fatma Sogra posyła kwiaty z Medyny do Kerbely; 22) Fatma Sogra pisze list do brata; 23) Męczeństwo Alego Esgara; 24) Męczeństwo Imana Husejna; 25) Duchy proroków poprzednich nawiedzają trupa Imana Husejna; 26) Kobiety z pokolenia Beni-Esed, przynoszą wodę dla osób należących do Haremu Imana Husejna; 27) Sekina udaje się do obozu Ben-Seada i prosi go o pozwolenie pogrzebania ciał męczenników; 28) Sieroty Imana Husejna na jego grobie; 29) Katib i Welid; 30) Klasztor mnichów europejskich; 31) Arabi z pokolenia Ibn-Esek, grzebią ciała męczenników; 32) Klasztor mnichów europejskich; 33) Rodzina Imana Husejna dająca o sobie wiadomość Medynie (miastu).

Pierwszy tom tłumaczenia p. Chodźki zawiera w sobie pięć pierwszych misteryów, a w tej liczbie, jak zauważył p. Renan, wprowadzenie na scenę takich osób, jak: Mojżesz, Chrystus (mist. 5), nawiedzających męczennika Husejna, nawet pod względem naszych pojęć o efektach scenicznych nie jest pozbawione pewnej wielkości i potęgi codo dramatycznego uczucia poety. Przedstawienia tych sztuk mają miejsce raz tylko do roku, w miesiącu (księżycowym) *Moharremie*, który jest poświęcony pamięci męczeństwa, to jest śmierci Alego i jego rodziny.

Ale tu słówko niezbędne o głównym przedmiocie misteryów, to jest o śmierci Alego i jego rodziny i o sposobie, w jaki przedstawienia tych dramatów odbywają się w Persyi.

Wiadomo jest, że Ali, przezwany *Lwem Bożym*, był zięciem i jednym z pierwszych wodzów proroka. Ożeniony z Fatmą, ulubioną córką Mahometa, objął najwyższą po nim władzę, nie bez silnej opozycji innych wodzów arabskich, a szczególnie Jezyda. Ali zamordowany został na progu Wielkiego Meczetu w Kufie, w trzydziestym roku od śmierci proroka, a w czwartym własnego panowania. Jego

dwaj synowie, noszący tytuł Imanów, a poprawniej Imamów, to jest książąt, poszli tą drogą co i ojciec. Starszy, Hasan, łagodny i dobry, nie był wcale stworzonym do odgrywania gwałtownej roli, na jaką skazywały go ciągle intrzygi i zabiegi licznych współzawodników do władzy. Nie czując się na siłach do przeprowadzenia walki, rzekł się najwyższego kalifatu na rzecz Moawii, przewoźcy wrogiemu mu stronnictwa, który, wyznaczwszy mu dożywotnią pensję, ożenił go z jedną ze swych córek. Hasan zakończył żywot w Medynie w 49 roku Hegiry, otruty, jak powiadają, przez własną swą żonę.

Młodszy brat jego, Husejn, syn również Alego i Fatmy, miał lat 37 w czasie zamordowania ojca. Jego przedsiębierczy i energiczny charakter, jego wielkie zdolności — dawały stronnikom Alego większe daleko nadzieje niż spokojna i bezczynna poobożność Hasana. — Wskutek stanowczej odmowy uznania Jezyda, syna Moawii, za prawego Kalifa, Husejn musiał opuścić Medynę i schronić się do Mekki, zkąd daleko łatwiej było mu porozumieć się z bardzo licznymi stronnikami ojca, znajdującymi się w mieście Kufie. Kiedy ci wkrótce ogłosili Jezyda za przywłaszczyciela władzy, Husejn, zabrawszy z sobą całą swą rodzinę, w poczie 70 dobrze zbrojnych jeźdźców pośpieszył połączyć się ze swem stronnictwem w Kufie. Ostatnie to miasto dzieli od Medyny piaszczysta pustynia bezwodna, znana odąd w historii Wschodu pod nazwiskiem *Pustyni Kerbeleh*. Tam-to, otoczony nagle przez przeważne siły nieprzyjaciół, dnia 10 miesiąca Moharrem, nieszczęsnego dnia w historii Szytów, zginął Husejn z całą swą rodziną. Zwycięzki oddział Jezyda nie oszczędził żadnego z rycerzy. Uciętą głowę Husejna odesłano Jezydowi, który ją okrył potwarzą i zniewagą i z trudnością zezwolił, na pogrzebanie jej w Damaszku. Dzieci i kobiety, oszczędzone, ostatnią odkrytą zniewagą, odprowadzono na stryczkach do nóg zwycięzcy, odmówiwszy im wprzód nawet trochy wody dla ugaszania pragnienia, pomimo w pobliżu znajdującej się rzeki. Następcy Alego, przesładowani odąd z pokolenia w pokolenie, opuścili Arabię i szukali schronienia w Persyi. Tam, w północnych szczególnie prowincjach, położonych nad brzegami morza Kaspijskiego i w Chorozanie znaleźli przytułek i współczucie, a wkrótce ważny i wielki nawet wpływ religijny. Nigdzie, na całym Wschodzie, pamięć Alego nie jest tak czczoną jak w Persyi; istnieje tam nawet odrębna sekta *Aliullahisów*, która uważa i czci Alego jako wcielenie bóstwa. Siedmiu Imamów, liczą w rodzinie Alego; są nimi: Ali, Hasan, Husejn, Ali-Zejnulobedin, Mohamed-Bagier, Dzeaffer-es-Sadyk i Izmael.

Jak perskie *Teazye* niepodobne są wcale do naszych dramatów, tak również i miejsce ich przedstawień różni się całkowicie od naszych teatrów. Po miastach zwykle się to odbywa na placu publicznym, *coram populo*, a zupełna bezinteresowność wszystkich, którzy biorą udział w takim przedstawieniu, jest widowisk tych odrębną i wyłączną cechą. Dać przedstawienie *Teazyi* dla ludu uważa się w Persyi za dobry i arcyreligijny uczynek. Przedsiębierca takiego widowiska, jak również aktorowie i wszyscy biorący w niem udział, ani myślą o zysku — chodzi tu bowiem o zbawienie duszy, a po długich wyrażeniach: *każda z odegranych sztuk jest właśnie cegiłką, wypaloną tutaj na ziemi, a mającą kiedyś posłużyć do wybudowania pałacu w niebiosach*. Do tych religijnych powodów przyłączają się czasem i względy światowe. Ludzie bogaci i możni przyczynają się przez *Teazye* do rozszerzenia w masach ludu religijnych i politycznych swoich wpływów, a urządzając w swym domu albo pałacu takie bezpłatne i piękne widowisko, mają sposobność pokazać ludowi bogate swe szale, srebra, klejnoty, w które ubierają się aktorowie i przyozdabia scena — scena, ma się rozumieć, bez żadnych dekoracji, bez kulis, maszyneryi i t. p. Aktorowie pozostają ciągle na scenie, zabierając głos z kolei.

P. Chodźko wspomina o jednym z takich przedstawień, którego sam był naocznym świadkiem w Teheranie w 1833 r. Mirza-Abul-Hassan-Chan, ówczesny minister spraw wewnętrznych, wyprawił widowisko na intencję wyzdrowienia swojego syna. Widowisko to trwało przez dni 14, a minister ukazał zdziwionym oczom coraz zmieniającej się publiczności, ośmdziesiąt *Rizai*, to jest wspianych

kaszmirów i klejnotów, w liczbie których figurowały drogie ozdoby, zapożyczone na ten cel w haremie Szacha i wartujące pół kurura (około 3 milionów franków).

Przedsiębiorca, a raczej nakładca takich przedstawień musi sprowadzić i zaopatrzyć w mieszkania, stół i odpowiednią nagrodę: reżysera przedstawienia, który się zowie po persku *Ruzechan*; poete, to jest tego, który umie na pamięć nieskończoną liczbę teazyj; i nakoniec aktorów, którym obowiązany jest dostarczyć wszystkiego, cokolwiek należy do akcesoryjów teatralnych — zaczawszy od prostego dywanu aż do złotogłowia i dyamentów. Po wsiach, a nawet po koczowiskach plemion pasterskich, sceny te się odgrywają w umyślnie na to przeznaczonych szopach, zwanych *Tekje*; w miastach, jak mówiłem, na placach publicznych, albo na podwórzach meczetów, pałaców i t. p., gdzie często dzieci najznakomitszych rodzin roznoszą bezpłatnie, ofiarowywane każdemu, ochładzające napoje, cukierki i frukta.

Wpółrodku przygotowanego miejsca, gdzie się ma odegrać misterjum, *Ruzechan*, to jest reżyser, wyznacza pewną przestrzeń, mającą służyć za scenę. Na placu publicznym, po dostatecznym wymieceniu miejsca, polewają je wodą, a następnie ustawiają pewien rodzaj podwyższenia, zasłoniętego dywanem. Wpółrodku stawia się stolik i fotel albo krzesło, przeznaczone dla *Ruzechana*, do którego należy dać publiczności przedwstępna konferencję tak samo zupełnie jak się to praktykuje dziś w Paryżu na przedstawieniach dziennych.

*Ruzechanowie* w Persyi stanowią pewien rodzaj korporacji, bardzo poważanej i wziętej. Jestto zarząd bardzo znaczny, a przytem i bardzo dochodny, bo żadne przedstawienie porządne, a jest ich bez liku, nie może się obejść bez *Ruzechana*: on-to bowiem otwiera i zagaja posiedzenie, przygotowując widzów do głębokich i bolesnych wrażeń *Teazyj*, deklamując im prozą, albo śpiewając wierszami tradycy i legendy, tyczące się rządów i przesładowania świętych i władców.

Podwyższenie, na którym zasiada *Ruzechan*, zowie się *Seku*, to jest rusztowanie, zaporą i t. d. Towarzyszy mu mniejszy lub większy chór młodych chłopców, który odgrywa rolę chórów starożytnych greckich tragedyj, to jest powtarza ostatnie strofy poematu, nadając im nacisk, jaki ztąd wynika, albo mieszając do deklamowanej prozy *Ruzechana* jakąś strofę wierszami. Za wejściem na scenę *Ruzechan* zasiada poważnie na przeznaczonym sobie miejscu, a młodzi chórzyści na ziemi z założonymi nogami, sposobem wschodnim. Pomyślawszy chwilę, *Ruzechan* podnosi oczy ku niebie, wzdychając głęboko, — oczy jego napełniają się łzami — i głosem, który przerywa łkanie, tak zwykle się odzywa do swej publiczności.

„O! mili bracia! O! siostry moje! (kobiety bowiem w wielkiej liczbie wypełniają w Persyi tego rodzaju widowiska, trzymają się razem, ale oddzielnie od mężczyzn, tylko w tem samym kole). Dajcie (otwórzcie) serca wasze (*dil bedehid*), smućcie się i płaczcie gorącymi łzami nad tą niedolą, której pamięć przypomina nam miesiąc Moharremu. Nie zapominajcie, że rozmyślanie o cierpieniach rodziny proroka, — niech Bóg go błogosławi i całe jego potomstwo! — (Tu głęboki pokłon): jestto klucz złoty, który wam otworzy rajskie podwoje. Pamiętajcie, że dnia pewnego błogosławieństwa (*hezret*) *Fatma*, to perła czystości, czesząc włosy ukochanego syna, *Imana Husejna*, spostrzegła wplątany w grzebień włos wyrwany przypadkiem i zalała się łzami! to jest historyczna prawda; tradycya (*hedis*) zaręcza nam za jej prawdziwość. Al! słuchacze moi, uważcie pilnie, nadstawcie uszu (*gusz bedehid*, dajcie ucho), na to, co wam powiadam, jakkolwiek mało znacząca może się zdawać ta okoliczność. Jeden włos tylko! matka widząc go... (Tu *Ruzechan* zaczyna płakać), widząc ten włos z poświęconej głowy *Imama*, zalała się łzami. Niestety!.. Nieszczęście nad nieszczęściami! Targajcie włosy wasze, załamujcie ręce, rwijcie w kawałki szaty wasze, bijcie się w piersi... Głosu mi braknie, boleś mię zabija!... Tu *Ruzechan* w poruszeniu największej rozpacz, ciska o ziemię zawojem swoim, rozdziera na dwoje koszulę, odkrywa swe piersi i zaczyna się walić kufakami, od czasu do czasu rwąc sobie gwałtownie brodę. Nie było prawie ani jednego

widza, któryby nie pośpieszył naśladować tych rozpaczliwych objawów. Jęki i łkania, udzielające się również jak u nas śmiechy, stawały się cochwila głośniejszemi, a nakoniec wybuchły nagle jednym wielkim krzykiem, mówiąc właściwie, jednym potężnym rykiem, tysiąca słuchaczy, — rykiem, który, zaprawdę, napełnił nas trwogą. Kobiety, siedzące w gromadzie, poruszały się gwałtownie, jakby wzbране fale, pokazując zpod zasłon rozpuszczone włosy; mężczyźni rwali sobie brody, zrywali zawoje i odkrywając golone głowy, kaleczyli je końcami sztyletów, podnosząc z dumą krwią i potem oblane czoła. Horrendum! Tymczasem miotający się na wszystkie strony, jakby wściekły *Ruzechan*, ryczał ogromnym głosem. „Jeden, jedyny włos tylko, wyrwany zębami grzebień... Zauważcie więc, jaką musiała być goręć tej boleści macierzyńskiej, kiedy z wysokości rajskiego swego przybytku, *Fatma*, gdyż wówczas już nie żyła — niestety, spostrzegła tę ukochaną głowę toczącą się na piasku“.

Dałem szersze rozmiary temu sprawozdaniu, bo pragnę, aby czytelnicy moi mieli dokładne wyobrażenie o ważności i szczególności tego literackiego fenomenu wschodniego świata. Praca p. Alex. Chodźki dorównywa prawie wartości oryginalnego utworu — tak ważne, tak nowe otwiera nam pole w dziedzinie nieznaney dotąd gałęzi literatury wschodniej. Pan Renan, a jest to doświadczony i kompetentny znawca w tym względzie, z prawdziwym uniesieniem mówił o dokonanej pracy przez naszego rodaka i o pożytku, jaki ztąd odnieść może filologia, a razem i historia literatury wschodniej. Są tam w tych sztukach spostrzeżenia, wzmianki, które nowe rzucają światło na pojęcia, obyczaje i umysłową kulturę Persów. Pod względem języka znajduje się tu prawdziwy skarbiec ciekawości. Jednym słowem, jest to nowa i wielka zasługa w literaturze powszechnej naszego znakomitego rodaka: dla tego, wybaczcie mi przydłuższą trochę wzmiankę.

Spodziewam się, że każdy zrozumie i wytłómaczy tak naturalną chęć moją wypowiedzenia czytelnikom polskim: jakiej ważności jest to nowa praca naszego rodaka. Tak rzadko się zdarza nam, niestety, tutaj nawet, aby nam oddano należną sprawiedliwość, że, kiedy się to zdarzy przypadkiem, kiedy jeden z najpoważniejszych głosów odezwie się o pracy Polaka w tak pochlebny sposób, jak to uczynił pan Renan na posiedzeniu Akademii Francuzkiej — do nas należy obowiązek i prawo powiedzieć swoim: jakie jest prawdziwe znaczenie pracy dokonanej przez rodaka, którym i obcy poszczycić się mogą. Do przyszłego listu odkładam dalsze literackie wiadomości. Niemalże ważnych leży przedemną książek; ale trzeba je wprzód przeczytać, wyssać całą essencję, a dopiero miód sam tylko moim czytelnikom, czysty i gotowy, zostawić, dodając: *Manducate quod vobis apponitur.*

## WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Q. — Wydawcy kończącej się *Encyklopedyi rolniczej*, która pod sterem ich tak dobrze opracowaną została, pp. Ks. J. T. Lubomirski, E. Stawiski i St. Przystański, przystąpili obecnie do wydania *Encyklopedyi wychowawczej*. Wiadomość ta ucieszyła nas serdecznie i nie wątpimy, że każdego z czytelników podobnie ucieszy: wszyscy już dzisiaj pojmujemy doniosłość wychowania; wszystkim nam leży na sercu krzewienie się zdrowych poglądów w sprawie, przyszłość narodu obchodzącej. Przed 4-ma laty jeszcze rzucono i podejmować już nawet zaczęto w Warszawie myśl wydawnictwa, któreby objęło wszystkie gałęzie sztuki wychowywania człowieka; ale zamiar ów nie był jeszcze należyte dojrzałym i nie wytrzymał próby praktycznych warunków działania. Obecny projekt wydaje się nam, zmalałym do rozmiarów rzeczy praktycznej już wykonanej się dającej, projektem ówczesnym — pojedynczych książek, któreby utworzyły systematyczną całość.

Dzieło obecnie zamierzone, ma być książką podręczną dla wszystkich, co wychowują, uczą i co się rzeczami ogólnymi społeczeństwa zajmują. Obejmować ono będzie zakres teoryi i praktyki; objaśniać historycznie i porównawczo główne kwestye; oddzielać i rozróżniać co ogólne, ludzkie, wspólne wszystkim czasom, miejscom, a co wyłączone, potrzebami specjalnymi danego kraju i stosunków zawiązkowane.

Szerokie jest pole pedagogiczne, na którym gruntowny sąd posiadać powinien każdy obywatel, każda matka, każdy nauczyciel. Pominawszy już ważność wychowania domowego, zależącego głównie od matek, których znaczenie i doniosłość w tej mierze postawić można na równi ze sprawującymi publiczne urzędy, — redakcyja wskazuje dwie najważniejsze kwestye: kierunek bądź realny bądź humanitarny w wychowaniu, i ważność inicjatywy prywatnej. — Wybór kierunku wychowania czy to w szkole rządowej, czy też w edukacyi prywatnej; dopełnienie lub całkowite zarządzanie rozkładu nauk; inicjatywa przez pisma i dyskusye, przez popieranie takich lub innych szkół prywatnych, przez zapisy, stypendya: to dość spora władza w ręku każdego obywatela — umiejmy ją tylko godnie i odpowiednio spożytkować.

Choćby sędzić z samego *Objaśnienia i Spisu wyrazów mających wejść w skład Encyklopedyi*, — które Redakcyja łącznie z zaproszeniem do współpracownictwa rozsyła — nie będzie to tylko skatalogowanie materiału pedagogicznego; owszem, będzie to zbiór gruntownych i wyczerpujących rozpraw, źródłowe znaczenie mających. Redakcyja porusza wszystkie środki, aby dzieło to postawić na możliwym szczeblu doskonałości. Rzecz to nie łatwa do wykonania, przy ubogiej naszej literaturze pedagogicznej, przy skromnej bardzo liczbie pracowników w tej gałęzi. Z obcym materiałem łatwiej sobie poradzić; trudniej z rzeczami polskimi, — już to ze względu, że mało są opracowane, już to z konieczności szerszego i bardziej wyczerpującego obrobienia rzeczy krajowych. Do pracy obecnej powołane zostają wszystkie siły, ze wszystkich stron, — i jest nadzieja, że zbiorowa praca kraju sprosta zadaniu tak, iżby *Encyklopedya* nasza nie powstydziała się rozgłosnej *Encyklopedyi* Schmidta'a.

Redakcyja opiera się na gruncie religijnym, chrześcijańskim, niekrepując jednak swobody wyznaniowej, szanując tak samo przekonania odmienne, jak pragnie, aby jej własne przekonania uszanowanymi były.

„Objaśnienia“ swoje uważa Redakcyja nie za program, ale tylko za zbiór wskazówek, gdzie usiłowania piszących łączyć się mogą; wiele kwestyj zostawiając otwartymi, zastrzegając tylko sobie wolność czynienia zastrzeżeń i objawiania własnych opinij, uprasza następnie współpracowników, aby w traktowaniu przedmiotów naukowych i społecznych z jednej strony nie pomijali najważniejszych i rzeczywistych postępów i odkryć, z drugiej — aby nie wybiegali za daleko naprzód, przyjmując za stanowcze takie teorye, teorematy i hipotezy, które jeszcze ustalonymi nie zostały.

W spisie 981 wyrazów znajduje się zapewne niejedno opuszczenie. Nie sądźmy jednak, aby to, co kto ze współpracowników lub Redakcyja sama uzna później za potrzebne nie miało wejść w skład dzieła, dlatego, że w spisie nie zostało zamieszczonem. Odpowiednie powiększenie liczby wyrazów wpłynęłoby może na większą metodyczność układu, a czytelnik prędzej mógłby się poinformować, łatwiej odszukać żądany szczegół lub materję.

*Encyklopedya* wychodzić będzie grubemi zeszytami, począwszy od dnia 1 Listopada r. b., a ukończyć się ma w ciągu lat dwóch.

— *Przegląd krytyczny*, czasopismo krakowskie, przestał wychodzić z Nowym Rokiem. Nieliczni prenumerotorowie czekają jeszcze na zeszyt grudniowy, aby mieć zupełny zbiór za rok 1877, a trzeci i ostatni wydawnictwa. *Przegląd* założony został w Październiku 1874 roku przez profesora wszechnicy krakowskiej, Wincen. Zakrzewskiego, i pod jego niezmienną redakcyą istniał aż do końca. Wytknąwszy sobie cel w zaznajamianiu czytelników z rozwojem i kierunkami rozwoju współczesnej literatury, w dziale historycznym zwłaszcza celu tego sumiennie dopinał, podając sprawozdania

nietylko z prac oryginalnych, ale także i obcych, stosunkom naszym poświęconych.

Redakcyja *Przeglądu* z niemałemi przeszkodami walczyć musiała. Gdy najpierw dla braku dostatecznej zachęty w honoraryach trudno było pozyskać współpracowników, zabiegliwość redaktora, przy rozległych jego stosunkach, przeszkodę tę usunęła — i zasilają *Przegląd* pióra najlepsze, wszakże bez systematu i ciągłości pożądanej. Nie zmienił natury swojej dla *Przeglądu* ów Horacego *irritabile genus*. Niejeden z dziewięćdziesięciu przeszło (w r. 1876 było 92) współpracowników, zostawszy sam skrytykowanym w *Przeglądzie*, nadal już czynnego współpracownika swego odmawiał; innym brakło odwagi własnych przekonań, byli wreszcie i tacy, którzy się krępowali małą poczytnością pisma. Z tem wszystkiem *Przegląd*, choć nie był pismem mistrzowsko redagowanym i zapełnianem doskonałemi zawsze pracami, zadaniu swemu jednakże odpowiadał i rzetelnie zasługiwał na rozpowszechnienie. Jeżeli upadł, to nie z powodu złego prowadzenia i złej treści, ale z powodu niskiego stopnia wykształcenia w ogóle czytających, a niskiego stopnia potrzeb w ogóle piszących u nas. Ci ostatni, pisarze nasi, częstokroć z okładki nawet *Przeglądu* nie znali. Czegóż dopiero wymagać od zwyczajnego czytelnika, na którym obowiązek obznajamiania się z rozwojem piśmiennictwa na daleko niższym stopniu ciążył niż na ludziach pracujących piórem! Prawda to może smutna i gorzka — ale prawda, i nic je przepierać nie zdoła.

Na 90 arkuszach ścisłego druku, stanowiących trzy ciągi roczne — 1875 (od Paźdź. 1874 do Grudnia 1875) 1876 i 1877 — do miesiąca Listopada r. z. włącznie znajdują się 604 sprawozdania, krytyki, nieraz głębokie, i polemiki, te ostatnie wszakże bardzo nieliczne. Liczbę dzieł, o których recenzje i krytyki dokompletowany *Przegląd* zawierać w sobie będzie, możemy śmiało we wszystkich trzech rocznikach, podać na sześćset: na trzyletni przeciąg czasu, przy słabym stosunkowo rozwoju literatury książkowej, którą głównie *Przegląd* uwzględniał, liczba ta daje dostateczne wyobrażenie o rzetelności a zarazem ważności upadłego wydawnictwa. Nie czytała *Przeglądu* współczesność, ale niech kierownikom i współpracownikom jego za szlachetną pociechę to starczy, że przyszły historyk literatury z epoki naszej nie obędzie się bez *Przeglądu*, który epokę tę w sobie odzwierciedlił.

Przez dwa pierwsze lata podawał *Przegląd* sprawozdania z ruchu naukowego w Akademii Umiejętności; w ostatnim rubrykę tę zastąpiła Bibliografia, starannie, jakkolwiek codo czasopiśmiennictwa niedość jeszcze wyczerpująco prowadzona.

Wolno dowodzić, że to, co upada, nie jest potrzebnem, albo, że nie było dobrem: dla nas *Przegląd krytyczny*, był i potrzebnym i dobrym. Potrzeba takiego czasopisma jak *Przegląd*, jest dziś jeszcze skutkiem braku wykształcenia w massie społeczeństwa idealną, dla wybranych tylko umysłów istniejącą, ale niemniej jest i stale tym wybranym umysłom uprzytomniać się będzie. Nie wątpimy też, że te same koła, które wydały z siebie, do przeszłości dziś już należące, wydawnictwo, wskrzeszą po kilku latach myśl pierwotną w doskonalszej tylko jeszcze postaci — i z lepszym, da Bóg, powodzeniem społecznym.

— *Józef Ignacy Kraszewski*, z powodu pięćdziesięciolecia pracy i zasługi jego dla społeczeństwa. Z portretem jubilata. Napisał T. I. Rola. Warszawa. Druk J. Ungra, str. 77, in 8-o. — Kto chce poznać wszystkie projekta, jakie dotychczas na uczenie jubileuszu Kraszewskiego powzięto i ogłoszono, znajdzie je starannie w tej książce zebrane. W przypiskach zajmujących 40 stronie, przedrukowane jest wszystko prawie, co do końca Stycznia w tym przedmiocie ogłoszono; pomiędzy innemi spotyka-

my tu i odezwę, napisaną dla poparcia projektu książki zbiorowej, a zamieszczoną w N. 2 *Bluszczu* z r. b.

Autor, znany z znacznych wydawnictw i dążności, w zakończeniu książeczki swej obiecuje wydać dopełnienie jej w podobnie ułożyc się mającym sprawozdaniu z dokonanego już obchodu jubileuszowego. Wartość wewnętrzna i materalny cel wydawnictwa, ku dobru publicznemu skierowany, zapewnić powinny znacznie rozpowszechnienie wydanej już dotychczas książeczce Roli.

Z przypomnieniem wszystkiego, co napisano o jubileuszu Kraszewskiego, połączył autor własne wspomnienia z bytności u niego w Dreźnie, z uznania, jakim od dziecięcego jeszcze wieku olbrzymią pracę jego otaczał. Trafnie bardzo mówi o dostojnym jubilate: „J. I. Kraszewski nie był Kopernikiem. Nie stworzył on genialnych pomysłów naukowych jak Kopernik, nie wyśpiewał nam pieśni nieśmiertelnych jak Adam; lecz, powiadam, stał się, jak Skarga, w formie odpowiedniej do potrzeb czasu, mistrzem i duchowym przewodnikiem swego społeczeństwa“. Czytelnik w dziale wspomnień osobistych autora o Kraszewskim znajdzie i zajmującą rozmowę z jego małżonką, zamieszkałą w Warszawie. W każdym wierszu książeczki przebija się gorący hołd dla człowieka, którego święto obchodzić ma w roku przyszłym cała powszechność nasza.

— W Krakowie, jakby dla pokrycia straty, poniesionej przez ustanie *Przeglądu krytycznego*, zaczęto od d. 1 Stycznia r. b. wydawać *Dwutygodnik naukowy*, poświęcony archeologii, historii i lingwistyce, w poszytach, rozmiarów dużej ósemki, o 1½—2 arkuszy druku. Druk Ancyca. Na pierwszych dwóch zeszytach podpisany był jako redaktor odpowiedzialny i wydawca p. Artur Gruszecki; na trzecim spotykamy już nowe nazwisko, p. Jana Gadowskiego. Z prac pomieszczonych w *Dwutygo-*

*dniku* największą jest *Kamienna karta dziejów*, rozprawa archeologiczna pana Teodora Ziemięckiego, stwierdzająca niemałe czytanie autora. Znaczniejszej pracy historycznej cztery dotychczas wyszłe zeszyty jeszcze w sobie nie mieszczą. Oprócz właściwych wykładowych artykułów znajdują się jeszcze Recenzje, Wiadomości, Bibliografia i Zapytania. Te ostatnie wprowadza redakcyja za przykładem *Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit* w Norymberdze i z nadzieją tego samego powodzenia, jakie spotkało redaktorów czasopisma niemieckiego.

Zwracamy uwagę redakcyi na błąd znajdujący się w zeszyt III, na str. 57, w pracy p. Ziemięckiego. Wydrukowano tam: „tak zwane Grobowce hunnów [Hunnów?] (*Hünen-gräber*) etc.“ *Hünen*, niemiecka nazwa wielkich *tumuli*, rozrzuconych po Europie środkowej i nawet przechodzących na wyspy W. Brytanii, nie oznacza bynajmniej Hunnów, ale w epoce, w której powstała, w wiekach średnich, odpowiadała pojęciu *olbrzymów*; inaczej też nazywają się te rzekome *Grobowce hunnów* — „*Riesen-gräber*“ (Groby olbrzymów).

## Korrespondencya.

M. Z. Poraj. Artykuł, jeżeli się okaże odpowiednim, zostanie wydrukowany na zwykłych warunkach prac literackich, pomieszczanych w *Bluszczu*.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*“ dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

## OD WYDAWCY.

**Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcyą i na tych samych warunkach.**

Prenumerata w Warszawie wynosi: rocznie Rs. 7 kop. 20; półrocznie Rs. 3 kop. 60; kwartalnie Rs. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie, w urzędach i ekspedycjach pocztowych: rocznie Rs. 10; półrocznie Rs. 5; kwartalnie Rs. 2 kop. 50.

Szanowne prenumeratorki „*Bluszcza*“ prócz zwykłego *Dodatku*, obejmującego Wzory ubiorów i robót — na żądanie otrzymać mogą

### Mody kolorowane.

Prenumerata wydania ze zwykłemi *Dodatkami* i *Modami kolorowanemi* wynosi w Warszawie miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; rocznie Rs. 16.

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadsyłać prenumeratę wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i z Cesarstwa upraszam również, by żądania swoje raczyli adresować „do Redakcyi *Bluszcza* w Warszawie,

**Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).“**

Wczesne wyprawianie pierwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów „*Bluszcza*“, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca.

**TREŚĆ.** Zabawa i wychowanie, przez Maryę Płnicką. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Korrespondencya zagraniczna, z Ameryki, (dokończenie), przez Henryka Kałusowskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.